

Wyłogujemy się

15 kwietnia 2019

Wyobrażenia, w których postrzegamy media społecznościowe jako magiczne narzędzie nawiązywania kontaktów, silnie kontrastują z rzeczywistością, w której okazują się one kłódką złożoną ze złośliwych ataków personalnych i paranoicznego oburzenia. Kusi nas, by ten ogromny rozdźwięk przypisywać nieuregulowanemu kapitalizmowi. „Facebook” i „Twitter” nie mają właściwie żadnej konkurencji i żadnego problemu z robieniem tego, co chcą – od manipulowania danymi użytkowników po zapewnianie platformy mowie nienawiści – tak długo, póki jest to w ich interesie. Być może uwolnienie mediów społecznościowych spod prywatnej kontroli pozwoliłoby nam w końcu zdać sobie sprawę, na jakiego rodzaju fantazji się opierają.

Ożywcza myśl stoi za ostatnim artykułem Evana Malmgrena pod tytułem „Socialized media”. Wskazuje on, co mogłaby oznaczać próba powstrzymania ekscesów tych cyfrowych gigantów. Zamiast w sposób sztuczny ponownie wprowadzić pomiędzy nimi współzawodnictwo poprzez kampanię wzbudzania braku zaufania, albo zamiast regulować takie usługi w sposób właściwy dla usług publicznych (lub nawet je znacjonalizować), autor zachęca nas do spojrzenia na „media społecznościowe jak na dobro publiczne” i do przekazania „kolektywnej władzy nad platformami cyfrowymi ludziom, których one łączą”. W takim ujęciu państwo nie powinno występować jako „ostateczny nadzorca” wspólnych zasobów danych, lecz raczej, biorąc pod uwagę ponadnarodową naturę tych korporacji, jako pośrednik w drodze ku powstaniu kooperatyw złożonych z użytkowników.

Jak interesujące nie byłoby zastanawianie się nad różnymi sposobami, które możemy wykorzystać do uspołecznienia monopolu tych platform, Malmgren pozostawia bez odpowiedzi jedno podstawowe pytanie: czy media społecznościowe są w ogóle warte ratowania?

W społeczeństwie socjalistycznym wykorzystywalibyśmy wiedzę naukową i techniczną pozyskaną w kapitalizmie, by produkować na tym samym poziomie, ale bez prywatnej własności środków tej produkcji i bez niszczenia planety. W niektórych przypadkach może to oznaczać reorientację i uspołecznienie już istniejących gałęzi przemysłu – np. bankowości – jednak w innych znaczy po prostu ich celową eliminację lub drastyczne zmniejszenie ich zakresu.

Jest na przykład niewyobrażalne, by przemysł samochodowy utrzymał swój obecny rozmiar w warunkach socjalizmu. Z pewnością nie dławilibyśmy siły lokomocji, bo ludzie muszą się przemieszczać, jednak oznaczałoby to poszerzenie i poprawę systemu kolei, a nie zapewnienie każdemu samochodu. W tym przypadku potrafimy dostrzec podstawową manipulację ideologiczną i praktyczną, która odbywa się na ludzkiej świadomości. Przemysł samochodowy nie tylko zdołał przekonać ludzi, że to właśnie samochody reprezentują wolność przemieszczania się, ale także zrobił wiele, by zniszczyć transport publiczny lub zapobiec jego dalszemu rozwojowi. Chociaż w społeczeństwie kapitalistycznym faktycznie możemy potrzebować samochodów, nie potrzeba nam nawet w przybliżeniu tylu z nich, ile mamy. Nie są one produkowane dla ludzi i zrównoważonego transportu, lecz dla zysku.

Być może podobnie jest w przypadku mediów społecznościowych. W kapitalizmie ludzie spędzają większość życia wykonując pracę, których nie lubią i odczuwając brak towarzystwa poza nimi, zatem oczywiste jest, że poświęcą większą część swojego „wolnego czasu” nurzając się w krótkich chwilach zalecanej przez lekarzy interakcji „społecznej”. Malmgren ma z pewnością rację, gdy twierdzi, że umieszczenie platform cyfrowych pod demokratyczną kontrolą sprawi najprawdopodobniej, iż staną się mniej uzależniające i będą w mniejszym stopniu manipulować użytkownikiem. Ale gdybyśmy wszyscy pracowali tylko dziesięć godzin w tygodniu, a zatem mieli czas na angażowanie się w bardziej sensowne czynności, to czy naprawdę spędzalibyśmy

tylę czasu gapiąc się w ekrany?

Trudne rozmowy

Pytaniem pozostaje, czy negatywny wpływ, jaki „kapitalizm platformowy” wywiera na nasze życie, są specyficzne dla samego kapitalizmu – w takim przypadku, uwolnione od zakusów rynku, platformy te stałyby się uczciwymi społecznymi dobrami; czy też platformy te, tak jak prywatne samochody, są tak nierozzerwalnie związane z niszczącymi normami społeczeństwa kapitalistycznego, że po zmianie systemu prawdopodobnie zniknęłyby lub uległy znaczącej redukcji.

Aby dać na to pytanie odpowiedź, zacznijmy od szokującego faktu: w internecie zdarza się niewłaściwe zachowanie. Zdarza się ono oczywiście także w realnym życiu. Ale taka gangrena ma w mediach społecznościowych swoją specjalną odsłonę, która jest właściwa i szczególna tylko dla niej. Z jednej strony chodzi o bezmyślność, która na przykład w przypadku Twittera jest związana z limitem znaków na wiadomość. Pokazuje to jednak także psychopatyczną sprzeczność: obsesję na punkcie tego, jak jesteśmy na takich platformach postrzegani przez innych, w połączeniu z niepokojącym brakiem empatii w stosunku do wielu z tych „innych”, od których jednocześnie domagamy się, w sposób bezpośredni lub pośredni, docenienia nas samych.

Według wielu badaczy takie zachowanie jest aktywnie kształtowane przez media społecznościowe, a nie tylko wyrażane za ich pomocą. Sarah Konrath i jej grupa badawcza przeprowadzili metaanalizę siedemdziesięciu dwóch badań poziomu empatii i odkryli, że jej poziom wśród studentów college’ów jest o 40 procent niższy niż przed dwudziestu laty. Zmianę tę badacze przypisują między innymi „rosnącemu znaczeniu mediów obecnych w naszym codziennym życiu”: „Przy tak dużej ilości czasu spędzanego na interakcji z innymi online, a nie w rzeczywistości, dynamika interpersonalna, taka jak empatia, musi z pewnością podlegać zmianom”.

Takie wyjaśnienie potwierdza studium zamieszczone w magazynie „Cyberpsychology”. Zauważa się w nim, że poprzez kontakt online i wysyłanie wiadomości tekstowych powstają niewielkie związki pomiędzy ludźmi, pomimo starań, by „ocieplić” konwersacje przy pomocy wielkich liter, emotikonów i znaczków imitujących śmiech. Podobnie twierdzi psycholog kognitywny z Uniwersytetu Stanforda Clifford Nass, który uznał, że nasilone użytkowanie tego rodzaju mediów wpływa na „negatywne samopoczucie społeczne”.

Co najbardziej przerażające, ta udzielona z aklamacją zgoda na uznanie prymatu cyfrowej relacji nad zwykłą rozmową międzyludzką tworzy negatywną pętlę zwrotną. Im bardziej przyzwyczajamy się do zdystansowanych i kontrolowalnych interakcji międzyludzkich, tym bardziej prawdziwa rozmowa z innym człowiekiem wydaje się nam nieprzyjemnie spontaniczna i niewygodna, a zatem uznajemy, że należy jej unikać. Według socjolożki Sherry Turkle „prawdziwi ludzie, z ich nieprzewidywalnymi zachowaniami, mogą się wydawać trudni do przełknięcia po tym, jak spędziliśmy mnóstwo czasu w symulowanym świecie”.

Wiele badań potwierdziło także, iż media społecznościowe wzmacniają rosnące poczucie izolacji społecznej. Już w 1998 r. grupa badawcza z Carnegie Mellon ukuła termin „paradoks internetu”, który polega na tym, że im więcej kontaktów online, tym silniejsze poczucie rosnącej samotności. W erze „Facebooka” i „Twittera” ten problem stał się tylko wyraźniejszy, chociaż badacze i komentatorzy wahają się powiedzieć, że te platformy powodują samotność. „Facebook” w mniejszym stopniu przyczynia się do atomizacji, w większym za to jest wspaniałym uzupełnieniem i wzmacniaczem dla rosnącej skali samotności w społeczeństwie.

Czując się samotni, użytkownicy „Facebooka” w naturalny sposób dążą do otrzymania jakiegokolwiek uznania, którym mogą zostać obdarzeni. Jedno z australijskich badań ujmuje to bez owijania w bawełnę: „Użytkownicy „Facebooka” mają wyższy poziom

narcyzmu, ekshibicjonizmu i cech przywódczych niż osoby, które go nie używają. Właściwie można uznać, że „Facebook” wynagradza szczególnie potrzebę zaangażowania się w autopromocję i powierzchowne zachowania, którą odczuwają jednostki narcystyczne”.

Paradoksalnie jednak to, że media społecznościowe wzmocniły zachowania samotnicze, nie pozostawia nam wcale więcej czasu na faktyczne bycie samemu: pozwalają nam one upewnić się, że nie pozostanie nam zbyt wiele czasu na siedzenie i pogrążanie się w przedłużającej się refleksji nad sobą. To z kolei znaczy, że nie nakłania się nas do tolerowania nudy (i negocjowania prawa do jej odczuwania), a nuda jest przecież uważana za kluczowy czynnik rozwoju. Oddajmy jeszcze raz głos Turkle, która elokwentnie wyjaśnia ten problem: „pozbawieni samotności, podłączeni do sieci dniem i nocą, doświadczamy »momentów spełnienia«, ale całościowo nasze życie na tym traci”.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę musimy przyznać, że dziwne wydaje się twierdzenie Malmgrena, iż „użytkownicy takich platform stanowią idealny podmiot polityczny dla demokratycznego modelu rządzenia”. W jaki niby sposób to, że ludzie z powodu użytkowania tych właśnie platform przywykli do braku namysłu nad sobą, braku empatii i zwyczajnej międzyludzkiej pogawędki, ma wpłynąć na powstanie „idealnego podmiotu politycznego dla demokratycznego modelu rządzenia”? Rządy demokratyczne wymagają funkcjonowania instytucji, które przyzwyczajają ludzi do demokratycznego namysłu i takiegoż modelu podejmowania decyzji, czyli procesu wymagającego „ciężkich rozmów”, do których zachęca Jane McAlevey. Czy naprawdę w tym opisie możemy rozpoznać Twittera?

Swędzi i drapie jednocześnie

Ostatnio ukuto nowy termin na określenie nadmiernego korzystania z internetu – uzależnienie behawioralne. Cyfrowi

giganci od dawna używają go, by wyrazić to, co jest ich wymarzonym celem.

Uzależnienie behawioralne jest bardzo podobne do uzależnienia od różnych substancji – według Adama Altera „substancje psychoaktywne pobudzają te same części mózgu, a uzależnienie się od nich jest napędzane przez część tych samych podstawowych potrzeb: zaangażowania społecznego, wsparcia, mentalnej stymulacji i poczucia skuteczności działania”. Jednak uzależnienie behawioralne nie jest stygmatyzowane w takim stopniu jak uzależnienie od substancji. To tutaj leży niebezpieczeństwo: posiadamy kategorię marginalizacji społecznej dla ludzi uzależnionych np. od heroiny, i nie potrafimy nawet pomyśleć, że wszyscy, jako uzależnieni od internetu, należymy do pewnego stopnia do tej samej grupy „marginesu”.

Firmy produkujące technologie nie mają takich zastrzeżeń. W świadomy i aktywny sposób projektują swój produkt tak, by stał się „godnym popadnięcia w uzależnienie na jego tle” obiektem obsesji. I tak jak zawsze w świecie neoliberalizmu – zachęca się nas, byśmy brali indywidualną odpowiedzialność za własne nałogi. Ale, jak mówi „etyk-projektant” i dezertier z Silicon Valley, Tristan Harris, „nie bierze się pod uwagę, że po drugiej stronie ekranu znajdują się tysiące ludzi, których praca polega na tym, byśmy uciekali od wszelkiej odpowiedzialności i trzeźwości, jaką potrafilibyśmy zachować”.

Prawdopodobnie nie ma lepszego sygnału, że te platformy w niebezpieczny sposób uzależniają, niż to, że bogaci nie pozwalają swoim dzieciom ich używać. Tacy guru technologii, jak Steve Jobs i Chris Anderson restrykcyjnie ograniczyli swojemu potomstwu czas spędzany w sieci, i choć publiczne szkoły są zarzucane iPadami, które mają za zadanie stworzyć „środowisko przyjazne nauczaniu hybrydowemu” – technologiczne rozwiązanie braków w kadrze nauczycielskiej – to inżynierowie z Silicon Valley chętnie wysyłają dzieci do prywatnych szkół waldorfskich, gdzie zabronione jest używanie gadżetów

elektronicznych. Jak wyjaśnia Alter, ludzie ci kierują się znaną dilerom narkotyków zasadą: „Nigdy nie uzależniaj się od własnego towaru”.

Zatem brak empatii, namysłu nad sobą i autentycznego uspołecznienia, charakterystyczne dla osób nadmiernie używających tego rodzaju mediów, mogą być rozumiane jako symptomy swoistego uzależnienia, choroby, której istnienia bogaci są świadomi, a przy tym dostatecznie dobrze sytuowani, by „zaszczepić” przeciw niej swoje dzieci, lecz jednocześnie wystarczająco niedbali, by zarażać nią wszystkich innych.

Należy jednak uzupełnić tę wizję o perspektywę społeczną. Platformy mediów społecznościowych nie tylko tworzą i wzmacniają brak związków międzyludzkich, lecz także, podobnie jak wszelkie narkotyki, obiecują, że zaradzą brakowi związków międzyludzkich i bezduszości społeczeństwa kapitalistycznego.

Jak wyjaśnia Wolfgang Streeck: „Przy braku instytucji wspólnych, struktury społeczne muszą być opracowywane indywidualnie i oddolnie. Życie społeczne tworzą jednostki, które budują sieci prywatnych powiązań pomiędzy sobą – na tyle dobrze, na ile umieją, biorąc pod uwagę środki, jakie mają pod ręką. Tworzenie relacji opartych na ludziach i ich powiązaniach owocuje powstaniem pobocznych struktur społecznych, które są dobrowolne i wchodzi się w nie na zasadzie umowy, co czyni je elastycznymi, ale i łatwo psującymi się, a zatem wymagającymi ciągłego „sieciowania”, by utrzymać je w kupie i dostosowywać je wciąż od nowa do zmieniających się okoliczności. Idealnym narzędziem do tego są „nowe media społecznościowe”, produkujące struktury społeczne dla jednostek, zastępujące obowiązkowe formy relacji społecznych dobrowolnymi, a społeczności obywateli – sieciami użytkowników.”

Wady mediów społecznościowych nie są zatem ich jednym problemem – mają one także stanowić „rozwiązania” specyficznych historycznie i o wiele istotniejszych problemów

społecznych. W sytuacji braku uniwersalnych programów społecznych i tradycyjnych więzi, „życie społeczne w epoce entropii jest z konieczności indywidualistyczne”, a media społecznościowe to idealna struktura, w której ta całkowicie antyspołeczna orientacja może się rozgościć. Łagodzą one izolację i bezduszną, które są charakterystyczne dla społeczeństwa kapitalistycznego, a jednocześnie przyczyniają się do tej izolacji i bezduszości. To tak jak ze swędzeniem i drapaniem – to drugie zapewnia formę ulgi, która ostatecznie tylko pogarsza problem.

Zagrozenie jest blisko

Przekonanie kogoś, że używanie mediów społecznościowych niesie ze sobą rozmaite zagrożenia, nie zajmuje wiele czasu, ale są one zamiatane pod dywan, jako efekty uboczne trendu, który ogólnie jest pozytywny. „Tak, ludzie wypisują głupstwa na Twitterze, tak, być może spędzamy zbyt wiele czasu wysyłając sobie wiadomości, zamiast rozmawiać twarzą w twarz. Ale media społecznościowe sprawiają także, iż jesteśmy dobrze poinformowani i połączeni w sposób, który jest absolutnie nowatorski”. Nawet najbardziej kąśliwi krytycy uważają, by powstrzymać się od ich bezpośredniego potępienia – „tak, oczywiście, w tych mediach są także dobre rzeczy”.

Według Malmgrena „depresja, niepokój, napędzanie nienawiści, strach i teorie konspiracyjne to wszystko akceptowalne (dla platform społecznościowych) rezultaty – tak długo, jak uczucia te są wyrażane, świadomie lub nie, i służą wzrostowi i rozwojowi tych platform”. Choć z pewnością jest to prawdą, sugeruje on na podstawie tego faktu, że wystarczy pozbawić te platformy motywu finansowego i sprawować nad nimi demokratyczną kontrolę, by zapanować nad problemami, które wymienia.

Ale idąca w przeciwną stronę konkluzja jest dwojaka: po pierwsze, bycie przyklejonym do ekranu w celu angażowania się

w interakcje „społeczne” jest samo w sobie niepokojące, bez względu na to, czy odbywa się ono w imię zysku, czy czegoś innego; a po drugie, fenomen ten jest bezpośrednim objawem naszej alienacji w kapitalizmie. Innymi słowy – pomnażanie zysku to nie jest jedyny sposób, w jaki media społecznościowe służą kapitalizmowi.

Co więcej, dla lewicy stanowią one nadchodzące zagrożenie: przyciągają ludzi, którzy są naturalnym gruntem dla polityki socjalistycznej, po czym zmieniają ich w bezmyślnych narcyzów ogłaszających pseudopolityczne oświadczenia, napotykających na negatywną pętlę zwrotną, która oddala ich jeszcze bardziej od codziennej ludzkiej rzeczywistości.

Twitter nie jest zatem tylko środkiem do wyrażania siebie dla „patologii psychicznych”, jak to ujął Mark Fisher w [„Wyjściu z Zamku Wampirów”](#). Jest on samym Zamkiem Wampirów, ponieważ wykonuje robotę kapitalizmu, coraz bardziej atomizując ludzi i oddalając ich od możliwości odbycia rozmowy, która skutkowałaby prawdziwym politycznym zaangażowaniem. Im szybciej zdamy sobie sprawę z tego, że te media tak działają, tym szybciej zabierzemy się do pracy, by je rozbroić.

Autorstwo: Benjamin Y. Fong

Tłumaczenie: Magdalena Okraska

Źródło oryginalne: „Jacobin” (listopad 2018 r.)

Źródło polskie: NowyObywatel.pl